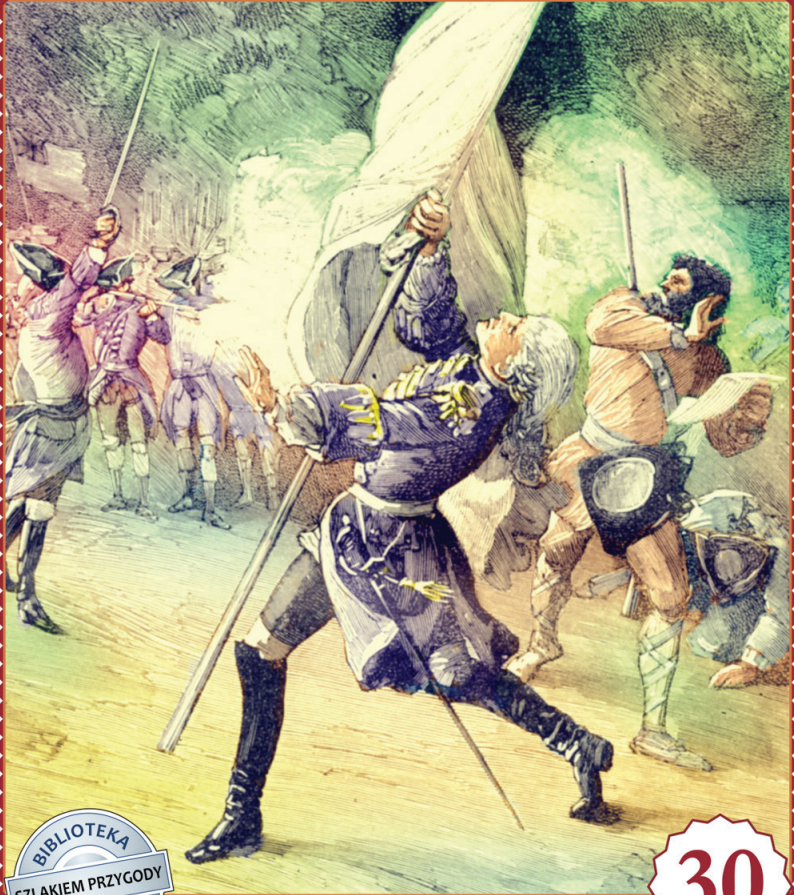




Gustave Aimard
FORT DUQUESNE

Pierwsza część cyklu „Piękna Rzeka”

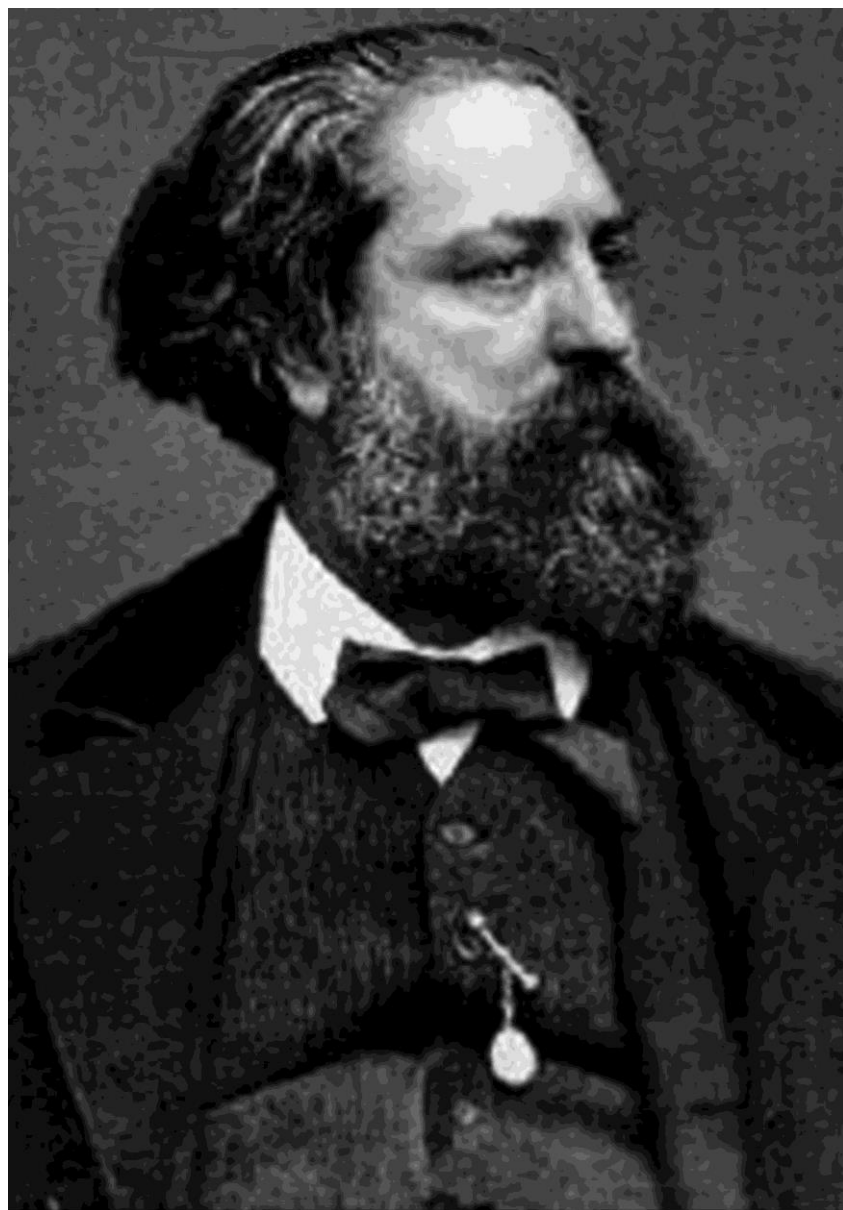


30

ISBN 978-83-66268-43-2 (całość)
ISBN 978-83-66268-44-9 (część 1)

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Gustave Aimard
FORT DUQUESNE



Gustave Aimard (właśc. Olivier Gloux) urodził się 13 września 1818 roku w Paryżu, zmarł 20 czerwca 1883 roku w paryskim przytułku św. Anny, do którego trafił pod koniec życia jako biedny, schorowany człowiek, uznany przez otoczenie za szaleńca.

Był autorem powieści przygodowych, jednym z najplodniejszych i najpopularniejszych francuskich pisarzy XIX wieku.

Biologiczni rodzice porzucili go, został adoptowany przez rodzinę Gloux. Oficjalnie nazywał się Olivier Gloux, ale sam używał imienia Gustave. W wieku dziewięciu lat uciekł z domu i zaciągnął się na statek jako chłopiec okrętowy. Młodzieńcze lata spędził w Ameryce Południowej, m.in. w Patagonii, później trafił do Ameryki Północnej, gdzie wiódł życie pełne przygód i parał się różnymi profesjami, był myśliwym, traperem, poszukiwaczem złota. W 1835 roku zaciągnął się do wojska, ale po kilku latach zdezerterował. Podróżował po Europie, Turcji, Kaukazie i obu Amerykach.

Po powrocie do Francji poświęcił się pisaniu powieści przygodowych. Szczególnie upodobał sobie opowieści o amerykańskim Zachodzie, które opierał na swym bogatym doświadczeniu i licznych wspomnieniach. W ciągu dwudziestu pięciu lat spod jego pióra wyszło około sześćdziesięciu powieści. Do najbardziej znanych należą *Traperzy z Arkansas* (1858) i *Bandydzi z Arizony* (1882) oraz duży cykl *Władcy Oceanu*. Początkowo jego powieści publikowano w czasopiśmie takich jak „Le Moniteur”, „La Presse”, „Le Voleur” i „La Liberté”. Jego książki doczekały się we Francji licznych wznowień i adaptacji, także teatralnych.

Powieści Gustave’a Aimarda opisują losy mieszkańców Ameryki Północnej na tle kolonialnych ambicji wielkich europejskich mocarstw i postępującego procesu znikania populacji Indian. Autor chętnie sięga po postaci gońców leśnych, traperów i myśliwych, ludzi pogranicza stanowiących łącznik między europejską cywilizacją a światem Indian. Główni bohaterzy jego powieści to ludzie o europejskich korzeniach, niezależni i odważni, wyznający zachodnie wartości moralne, ale prowadzący indiański styl życia.

Gustave Aimard



FORT DUQUESNE

Pierwsza część cyklu „Piękna Rzeka”

Przełożyła i przypisami opatrzyła Justyna Nowakowska

**Siedemdziesiąta piąta publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Trzydziesty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału francuskiego:
Fort Duquesne

© Copyright for the Polish translation
by Justyna Nowakowska, 2020

16 ilustracji, 4 karty tablicowe kolorowe: Emile Guillioud
zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego
podkolorowanie: Dariusz Kocurek

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Andrzej Zydorczak
Projekt okładki: Barbara Linda
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2020

ISSN 2449-9137

ISBN 978-83-66268-43-2 (całość)

ISBN 978-83-66268-44-9 (część pierwsza)

Rozdział I

Hrabia de Jumonville

Niewiele osób o tym wie. Za panowania Ludwika XIV i Ludwika XV¹ lwa część Ameryki Północnej należała do Francji. Jedną z jej posiadłości kolonialnych był rozległy obszar dziś zwany *Kanadą*, a w owych czasach określany mianem Nowej Francji. Ta bogata kraina, kiedyś należąca do nas, znalazła się w rękach Anglików. Niewielka jej część, która obecnie należy do Wielkiej Brytanii, jest jedną z najbogatszych angielskich kolonii. Na próżno szukać jakiegos poważnego uzasadnienia tego nieroztropnego kroku. Przelano wiele krwi, tylu wspaniałych ludzi poświęciło się kolonizacji tego nowego skrawka ojczyzny! Wierzyliśmy, że nasz trud już niedługo przyniesie wspaniałe owoce. Karygodna obojętność rządu, haniebne gierki mieszkańców doliny rzeki Missisipi², na wpół natchnione i antypatriotyczne słowa Woltera³, słowa, które naród największych na świecie lekkoduchów odczytał dosłownie, zniweczyły owoce

¹ *Ludwik XIV* (1638-1715) – król Francji od roku 1743, zwany Wielkim (fr. Grand) i Królem Słońcem (fr. Roi-Soleil), najdłużej panujący francuski władca; wprowadzał władzę absolutną; *Ludwik XV* (1710-1774) – król Francji od 1715 roku, prawnuk Ludwika XIV, przedstawiciel dynastii Burbonów; początkowo, wobec jego małoletniości, regencję sprawował bratanek Ludwika XIV, książę Filip Orleański; w roku 1723 przejął bezpośrednią władzę; w roku 1725 poślubił Marię Leszczyńską, córkę Stanisława Leszczyńskiego; w roku 1733 poparł elekcję teścia w Polsce.

² *Missisipi* (ang. *Mississippi River*) – najdłuższa rzeka w Ameryce Północnej, płynąca z północy na południe Stanów Zjednoczonych, o długości 3766 km.

³ *Wolter* (fr. Voltaire, właśc. François-Marie Arouet, 1694-1778) – francuski pisarz, filozof, historyk i publicysta, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli epoki oświecenia.

tak heroicznych wysiłków, tak długiej pracy. To była dla Francji ogromna strata. Kanada wciąż uchodzi za przeciętnej wielkości kraj o jałowej ziemi i surowym, nieprzyjaznym klimacie, który jest śmiertelnie niebezpieczny dla Europejczyków. W myślach wciąż jeszcze przewijają się obrazy ogromnych połaci ziemi, pokrytych wiecznym śniegiem, zamieszkałych przez dzikie zwierzęta i drapieżnych Indian. Ten błąd dużo nas kosztował. Krótko mówiąc, prawda jest taka: w tamtych czasach, gdy byliśmy tam panami, Nowa Francja tworzyła trójkąt, którego podstawa leżała na północ od Zatoki Hudsona¹, a szczyt w Zatoce Meksykańskiej, na południe od Nowego Orleanu. Każdy bok tego trójkąta miał co najmniej trzy i pół tysiąca kilometrów długości, a jego łączna powierzchnia wynosiła około milion dwieście tysięcy kilometrów kwadratowych, był to obszar jedenaście razy większy niż obszar dzisiejszej Francji. Kanada liczy zaledwie dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców, a mogłaby mieć sześć razy tyle. Bezspornie wiedzie prym pod względem uprzemysłowienia i rozwoju handlu w całej Ameryce Północnej. Oto te *parę morg śniegu*², które, zdaniem filozofa z Ferney³, *nie było warte ani krwi, ani pieniędzy, jakie kosztowały Francję*.

Czas porzucić smutne rozważania, które wykraczają poza ramy naszej opowieści. W czasach, w których zaczyna się ta historia, nad Ameryką ponownie zawisło widmo wojny między Anglikami i Francuzami⁴. W żadnym przypadku winą za

¹ *Zatoka Hudsona* – wielka (o powierzchni ok 1230 tys. km²) zatoka Oceanu Arktycznego w północno-wschodniej Kanadzie; brzegi przeważnie niedostępne i niezamieszkałe.

² *Parę morg śniegu* – pogardliwe określenie Kanady pochodzące z *Kandyda*, stanowiące komentarz Woltera do wojny francusko-angielskiej o Quebec.

³ *Ferney* – nazwa posiadłości Woltera we Francji.

⁴ Wojna o panowanie w Ameryce Północnej (ang. *French and Indian War*, fr. *Guerre de la Conquête*) – ostatni etap wieloletniego konfliktu pomiędzy Wielką Brytanią a Francją o dominację w Nowym Świecie, wojna rozpoczęta w 1754 roku i zakończona zawarciem traktatu paryskiego w 1763 r.,

ten konflikt nie można obciążać naszych rodaków. Anglicy toczyli tę niesprawiedliwą wojnę z niewiarygodnym barbarzyństwem i cyniczną pogardą dla wszelkich praw człowieka. Zazwyczaj podejmowali działania bez wcześniejszego uprzedzenia, nie siląc się nawet na znalezienie jakiegokolwiek pretekstu. To plama na ich politycznym honorze, której nic nigdy nie zmyje. To uzasadniony i haniebny zarzut, który stale będzie można wysuwać przeciwko ich wojskowej reputacji.

Dwudziestego siódmego maja 1754 roku, około godziny szóstej wieczorem, oddział trzydziestu czterech mężczyzn pod dowództwem pewnego oficera dotarł do rozległej polany. Leżała ona pośrodku jednego z tych bezkresnych lasów, które wówczas pokrywały brzegi rzeki Ohio¹, zwanej przez Francuzów *Piękną Rzeką*, i rozciągały się do granic Wirginii, opanowanej przez Anglię. Oddział miał za sobą długą i męczącą wędrówkę po niemal nieprzebytych leśnych ścieżkach. Choć składał się w większości z indiańskich wojowników, od najmłodszych lat przyzwyczajonych do wszelkich niedostatków życia na pustkowiu, a pozostałą jego część stanowili zahartowani na zmęczenia kanadyjscy myśliwi, zarówno jedni, jak i drudzy wydawali się przygnębieni. Nie tyle szli, ile wlekli się. Dlatego też z okrzykiem radości wynurzyli się z gęstwiny i jeden za drugim wbiegali na polanę.

Oficer, młody, dwudziestopięcioletni mężczyzna o pięknych, dystyngowanych rysach twarzy, miał na sobie mundur Marynarki Wojennej. Dalszy długi marsz nie wchodził w grę, a ludzie potrzebowali kilku godzin odpoczynku, więc wydał roz-

na mocy którego Francja utraciła na rzecz Wielkiej Brytanii m.in. Nową Francję (Kanada) i ziemię na wschód od Missisipi (część Luizjany).

¹ *Ohio* – rzeka w środkowo-wschodniej części Stanów Zjednoczonych o długości 1579 km.

kaz rozbicia na noc obozu. Na ten rozkaz niecierpliwie czekali zarówno Kanadyjczycy, jak i czerwonoskórzy. Rozbicie obozu zajęło zaledwie jedną chwilę. Rozpalono wieczorne ogniska. Później każdy przepatrzył swoją torbę w poszukiwaniu czegoś na wieczorny posiłek. Kapitan usiadł przy jednym z ognisk, na przewróconym pniu. Oparłszy łokcie na kolanach, ujął twarz w dłonie i mglistym spojrzeniem począł śledzić ulatujące iskry, pograżając się przy tym w zadumie, która szybko całkowicie go pochłonęła.

Skorzystajmy z tej chwili odpoczynku, by wyjaśnić, skąd ten uzbrojony oddział wziął się na tym niezamieszkałym terenie, oddalonym o ponad trzydzieści lig¹ od jakiegokolwiek osady. Kilka tygodni wcześniej Dinwidie², gubernator Wirginii z rozkazu rządu brytyjskiego, wysłał kolumnę milicji³, aby zajęła należące do nas ziemie nad rzeką Ohio. Nawiasem mówiąc warto zauważyć, że zgodnie z angielskim zwyczajem wyprawę tę zorganizowano w okresie pokoju, z pogwałceniem praw wszystkich cywilizowanych narodów. Kolumną dowodził major Waszyngton⁴, ten sam Waszyngton, który później zyskał sławę i wy-

¹ *Liga* – francuska miara długości (*lieue*), po wprowadzeniu systemu metrycznego uznana za równą 4 kilometrom, także angielska (*land league*), równa 3 milom (4828 metrów), pierwotnie odległość pokonywana pieszo przez godzinę.

² Robert *Dinwiddie* (1692-1770) – u G. Aimarda: Dinwidie; gubernator Wirginii w latach 1751-1758.

³ *Milicja* – oddziały terytorialne formowane z obywateli odbywających w czasie pokoju przeszkolenie wojskowe, posiadających broń, a powoływanych do wojska tylko w czasie wojny; mianem milicji określa się także uzbrojone grupy paramilitarne, organizowane np. w celu zapewnienia samoobrony lub ochrony porządku na obszarach objętych działaniami wojennymi lub wojną domową.

⁴ Jerzy *Waszyngton*, (ang. George Washington, 1732-1799) – polityk amerykański, pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych.

zwolił swą ojczyznę spod angielskiego jarzma. Awangarda¹, pod dowództwem chorążego Warda, zdecydowanie wkroczyła na nasze terytorium, zatrzymała się i zbudowała na brzegach rzeki Ohio fort, który zresztą Francuzi niezwłocznie zaatakowali i przejęli. Garnizon wzięto w niewolę.

Tymczasem pan de Contrecoeur – dowódca Fortu Duquesne, na którego miejscu obecnie leży Pittsburgh, jedno z najbogatszych miast w Stanach Zjednoczonych – który nie tylko pragnął usankcjonować ten stan, ale, jakby to było możliwe, uniknąć wojny, postanowił nie odwdzięczać się pięknym za nadobne i nie odpowiadać atakiem na atak. Poleciał jednemu ze swoich adiutantów, kapitanowi regimentu Marynarki Królewskiej, aby udał się do angielskiego dowódcy i wezwał go do natychmiastowego wycofania się, ponieważ bezpodstawnie wkroczył na terytorium Francji. Owym adiutantem był hrabia de Jumonville. Pan de Jumonville niezwłocznie zabrał się za przygotowania do wymarszu. Z racji tego, że musiał przejść przez tereny niewiedzane przez wrogie Francuzom plemiona, na wyraźne polecenie pana de Contrecoeur, wziął eskortę trzydziestu czterech oddanych i doświadczonych ludzi. To właśnie ten oddział rozbił obóz na polanie po forsownym pięciodniowym marszu. Hrabia de Jumonville chciał wywiązać się z powierzonych misji możliwie jak najszybciej, więc nie pozwolił swoim ludziom na odpoczynek ani w dzień, ani i w nocy. Ponadto miał nadzieję, że dzięki temu zawrotnemu tempu znajdzie się następnego dnia koło południa w pobliżu angielskich awanpostów².

Kiedy młody człowiek pozostawał pogrążony w rozmyślniach, podszedł do niego jeden z Kanadyjczyków. Odgłos kro-

¹ Awangarda (z fr. *avant garde* „straż przednia”) – pododdział ubezpieczający od przodu maszerującą kolumnę.

² *Awanpost* – stały posterunek wojskowy przy obozie, broniący do niego dostępu.

ków nie wystarczył, by wyrwać go z zadumy. Kanadyjczyk czekał. W końcu, widząc, że oficer nie zwraca na niego uwagi, zdecydował się odezwać.

– Kapitanie! – rzekł, najpierw zasalutowawszy dowódcy.

Pan de Jumonville gwałtownie podniósł głowę, z trudem tłumiąc odruch niezadowolenia.

Kanadyjczyk stał tymczasem nieruchomo, na baczność, i czekał niewzruszony, aż dowódca się odezwie. Rozpoznawszy w postaci stojącej przed nim, jeśli nie przyjaciela, to przynajmniej oddanego człowieka, kapitan uśmiechnął się i powiedział:

– To ty, Berger! Czego chcesz?

– Chcę porozmawiać – odpowiedział krótko ten, którego pan de Jumonville nazwał Bergerem.

– Siadaj, słucham.

Kanadyjczyk posłuchał i usiadł przed dowódcą.

Był wysokim mężczyzną o szerokich ramionach i muskularnych kończynach. Mięśnie, duże niczym okrętowe liny i twarde niczym żelazo, zdradzały niecodzienną krzepę. Na bocznych karku spoczywała stosunkowo niewielka głowa z prostokątnym czołem i twarzą o ostrych rysach. Jego czarne, szeroko otwarte oczy, obramowane od góry gęstymi brwiami, patrzyły na wprost. Czupryna brązowych, kręconych włosów, związanych z tyłu skórą węża, opadała w nieładzie na ramiona. Pergaminowa skóra, poprzecinana przedwczesnymi zmarszczkami, miała odcień ciemnego bistru¹. Długa, krzaczasta ruda broda zakrywała dolną część twarzy i sięgała mu do klatki piersiowej, nadając całej jego fizjonomii osobliwą dzikość. Pomimo tego groźnego wyglądu, dało się wyczuć, że zło nie ma władzy nad pierwotną naturą tego człowieka. Był uosobieniem szczerości i lojal-

¹ *Bistr* – ciemnobrązowa farba sporządzana z sadzy drzewnej, stosowana głównie w średniowiecznym malarstwie akwarelowym i ceramicznym.



Pan de Jumonville gwałtownie podniósł głowę,
z trudem tłumiąc odruch niezadowolenia.

ności. Miał na sobie niebieską płócienną koszulę wyszywaną białą nicią, noszoną przez kanadyjskich gońców leśnych¹. Koszula, przewiązana na biodrach paskiem z krokodylej skóry, zapewniała swobodę ruchu, o której nie było mowy w przypadku ubrań z europejskiego sukna. Do paska miał przytroczony nóż z rogową rękojeścią, bagnet, woreczek z kulami i woreczek z prochem. Spodnie z niebielonego płótna sięgały mu do kolan. Jego gołe nogi chroniły przed kolcami i gałęziami jedynie rzemienie zrobionych ze skóry łosia *mocksens*², pełniących rolę butów. Rzemienie krzyżowały się nad kostką. Na prawym ramieniu miał zawieszoną torbę ze skóry, przypominającą nasze torby myśliwskie. Wreszcie w ręku trzymał długą fuzję, której kunsztownie zdobiona kolba zachwycała mnogością wzorów wykonanych przy użyciu dużej ilości gwoździków z połączanej miedzi.

Ten kanadyjski myśliwy, będący przykładem tak udanego mariażu indiańskich i europejskich korzeni, że nie sposób było jasno określić jego pochodzenia, doskonale znosił warunki panujące w tej dzikiej krainie porośniętej bujną roślinnością. To było jego naturalne środowisko. Berger był potomkiem pierwszych normandzkich osadników, którzy podczas pierwszej wojny, zostali wypędzeni przez Anglików z plantacji, schronili się w lasach i zaczęli wieść pełne ryzyka życie tubylców.

¹ *Goniec leśny* (fr. *coureur des bois*) – określenie myśliwych i traperów, którzy w XVII i XVIII wieku wyruszali z Nowej Francji na północny zachód dzisiejszych Stanów Zjednoczonych i południowy zachód Kanady po futra dzikich zwierząt (zwłaszcza bobrów), które pozyskiwali samodzielnie lub nabywali od Indian.

² *Mocksens* – mokasyny, indiańskie buty zrobione ręcznie z wyprawionej skóry jelenia, łosia, wapiti lub bizona amerykańskiego, mające płaską podszewę, wyszywane kolorową nicią; nazwa pochodzi od algonkińskiego słowa oznaczającego „but” lub „obuwie”.

Później nazwano ich *Spalone Drewna*¹ ze względu na skórę w odcieniu ciemnego bistru, który był efektem mieszania się ras.

Ciężko było określić, w jakim wieku był rozmówca hrabiego de Jumonville. Berger mógł mieć równie dobrze trzydzieści pięć, co pięćdziesiąt lat.

Widząc, że myśliwy nie spieszy się z wyjaśnieniami, kapitan rzekł:

– Zatem mów. Rozkazy na noc zostały wydane. Ludzie popili i zjedli. Teraz będą odpoczywać i spać. Wystarczy dwóch strażników dla zapewnienia bezpieczeństwa i pilnowania ognia.

Kanadyjczyk zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie? – spytał oficer.

– Nie – odpowiedział stanowczo Berger.

– Czemuż to?

– Proszę wybaczyć, ale...

– Ale co?

– Nie wszyscy śpią o tej porze.

– Rozumiem. – Pan de Jumonville roześmiał się. – Mój dzielny Berger, będziemy tu siedzieć do jutrzejszego poranka, jak będziesz tak dalej mówił.

– To nie pora na żarty – odparł spokojnie Kanadyjczyk, nawet nie drgnąwszy.

Francuski oficer znał swojego podwładnego. Wiedział, że Berger nigdy nie używa bez potrzeby wielkich słów. Przestał się śmiać.

¹ *Spalone Drewno* (fr. Bois Brûlé) – społeczność, która w XVIII wieku składała się z Metysów, potomków amerykańskich Indian i francuskojęzycznych Kanadyjczyków (traperów, leśnych gońców i osadników) żyjących na terenach przyszłych prowincji Manitoba i Saskatchewan; początkowo nazywana „ludźmi mieszanej krwi”, na początku XIX wieku uzyskała – ze względu na kolor skóry – przydomek Bois Brûlé; w dalszej części tekstu przedstawiciele tej rasy będą nazywani Metysami.

Berger rzekł:

- Kapitanie, trzeba zrobić rekonesans po okolicy.
- Jakiej okolicy? Czyż nie jesteśmy pośrodku pustkowia?

Jakiego diabelstwa się boisz?

- Niczego się nie boję.
- Wiem o tym, mój dzielny Berger.
- Na niektórych w lasach czyha niebezpieczeństwo.
- Czyżby na mnie?
- Na pana, panie hrabio. Z pewnością.
- Dość! Teraz będziesz próbował mnie przestraszyć?
- Nie, to niemożliwe; ale chcę wzbudzić pana podejrliwość,

namówić do ostrożności.

– Ostrożności? Czyż nie mam ciebie, mój stary Berger? – odpowiedział łagodnie oficer.

- To nie wystarczy.
- Podaż mi rękę?

Berger podał dłoń hrabiemu de Jumonville, który mówił dalej:

- Widzisz, mój druhu, pochodzimy z tego samego kraju...
- Tak.

– Obaj jesteście Normandczykami. Twoi przodkowie przez wieki wiernie służyli moim...

- Tak.
- Jesteś moim przyjacielem.
- Tak.

– Mów więc do mnie jak przyjaciel, a nie jak podkomendny.

– Dziękuję – powiedział Kanadyjczyk, zabierając dłoń i odwracając twarz, aby ukryć emocje, które go ogarnęły. – Dziękuję, panie hrabio... To prawda... Moja rodzina zawsze była oddana pańskiej... i kiedy tam... w Quebecu usłyszałem przypadkiem pańskie nazwisko, moje serce zadrżało z radości i dołączyłem do pana. Choć urodziłem się w *Nowej Francji*, zaw-

sze czułem się sługą pana i panu podobnych. Jak pan wie, nie zwlekałem. Zgłosiłem się, pan się zgodził... Zawarliśmy pakt i tylko śmierć jest w stanie oddzielić syna mego ojca od najstarszego syna dziedzica hrabiów de Jumonville.

– Mądrze prawisz... i pewnego dnia omówię to z tobą szczegółowo.

– Później... – odparł Berger z pewnym zakłopotaniem.

– Tak, kiedy wykonamy zadanie, które mi powierzono.

– Owszem.

– Wtedy powiesz mi wszystko, czego nie powiedziałeś mi do tej pory.

– Mamy czas.

– Dlaczego twój ojciec wyemigrował... – ciągnął kapitan.

– Och! Historia biedaków takich jak my nie jest zbyt ciekawa.

– Interesuje mnie wszystko, co ciebie dotyczy.

– Oczywiście, panie.

– Z drugiej strony – powiedział młody człowiek – kiedy przyjechałem do Ameryki, moim celem było zdobycie pewnych informacji...

Kanadyjczyk czuł się coraz bardziej nieswojo. Hrabia Jumonville kontynuował, nie zauważając zakłopotania rozmówcy, którego dostrzeżenie utrudniał dodatkowo zapadający mrok.

– Pomożesz mi w ich zdobyciu.

– Zrobię, co w mojej mocy, ale nie rozumiem pana – odpowiedział Berger, który wyglądał jakby siedział na szpilkach.

– Chodzi o jednego z moich stryjecznych dziadków...

– Ach, rozumiem!

– Kapitana, który – z tego, co mi wiadomo – należał do regimentu w Carignan¹.

¹ *Carignan* – miejscowość i gmina we Francji, w regionie Grand Est, w departamencie Ardeny.

– Ale...

– Wyjechał ze swoją kompanią do Ameryki i tam został.

– A później?

– Żadnych wieści. Szukaliśmy go z zapalem, ale zniknął, nie pozostawiając żadnych śladów.

– Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, panie.

– Jak to?

– Bezsprzecznie. Kiedy stał się osadnikiem, jak wielu innych zmienił nazwisko – powiedział Kanadyjczyk z lekkim wahaniem w głosie.

– A po cóż?

– Ach, panie hrabio, są to rzeczy, które Europejczykom trudno na początku zrozumieć... Ale, widzi pan, na pewno jest tak, że po pewnym czasie, porzuciwszy stary świat dla nowego, miasto dla lasu, człowiek uświadamia sobie, że szczęście kryje się tylko w głębi lasu, otrzępuje podeszwy stóp, aby nie pozostała na nich ani jedna drobina miejskiego kurzu... Zaczyna nowe życie, zmienia swoje nazwisko i wszystko dobrze się układa.

– Tak, niewykluczone – wyszeptał młodzieniec i dodał głośno: – Chciałbym jednak wiedzieć, co się stało z tym członkiem naszej rodziny.

– Może pewnego dnia pan się dowie.

– Myślisz?

– Być może! – powtórzył myśliwy, ciągle z trudem tłumiąc emocje.

Oczywiście, gdyby mógł zmienić przebieg rozmowy, pan de Jumonville nie miałby już możliwości, aby powiedzieć mu coś jeszcze na ten temat, ale myśliwy miał zbyt wiele szacunku dla swojego dowódcy, aby porzucić drażliwy temat.

Kapitan mówił dalej:

– Krewny, o którym mówię, zniknął ponad trzydzieści lat temu.

– Trzydzieści lat, trzydzieści dni! Czas odkrywa wiele tajemnic. Panie hrabio, czy mogę zadać jedno pytanie?

– Pytaj.

– Po co chce pan rozwiązać tę zagadkę?

– Ale czy nie wyjaśniłem ci już, że chodzi o jednego z moich stryjecznych dziadków? Nieważne, jaki mam do niego osobiste stosunek, chodzi o nasz ród, nasze nazwisko.

– A jeśli je zmienił, jak pan myśli?

– To jest pewne?

– Nie.

– Zresztą, wyznam ci, mój poczciwy Berger, że w gruncie rzeczy to wszystko mnie niezmiernie ciekawi.

– Och! To chyba nienajlepsza pora na ciekawość – zamruczał myśliwy pod nosem. – Mamy trudniejszy orzech do zgryzienia.

Pan de Jumonville dodał, jakby nie słyszał uwagi swego podwładnego do obecnej sytuacji:

– Choć to dość zagmatwana historia i mgliste wspomnienia z mojego dzieciństwa, to pamiętam, że opowiadano memu ojcu o jakimś krwawym wydarzeniu, w które mój stryjeczny dziad był zamieszany.

– Dziecięce wspomnienia – odparł Berger, wzruszając ramionami.

– Wcale, że nie! Jego nagłe zniknięcie miało ścisły związek z tymi wydarzeniami; mój ojciec bez wątplenia o tym wiedział.

– I nie opowiedział panu o tym? – zapytał z zainteresowaniem myśliwy.

– Nigdy w szczególach. Raz czy dwa razy pytałem go o to, ale zawsze zmieniał temat rozmowy.

Berger odetchnął swobodniej.

– Pański ojciec – odparł – myślał bez wątpienia, że najlepiej będzie całkowicie zapomnieć o całej sprawie.

– Możliwe. Nasza wędrówka przez las, ta ogromna samotność, poetyckość pustkowie przywołały to wspomnienie. Pomyśl o tym później. Wróćmy do powodu twojego przyjścia.

– Najwyższy czas – wycodził Berger przez zęby.

– Zrzęda! – powiedział z uśmiechem młodzieniec. – Cóż się takiego stało, że żałujesz czasu na rozmowę?

– Nic, ale kto powiedział, że nic się panu nie stanie?

– Nasze życie jest w bożych rękach. Pozwól, że nie będę się przejmował przyszłością.

– Dobrze!

– A właściwie to czego chcesz?

– Żeby zezwolił mi pan na godzinny rekonesans w okolicach obozu.

– H! ho!! Więc naprawdę czegoś się obawiasz?

– Szczerze mówiąc, tak.

– Czego?

– Indiański wódz, który nam towarzyszy, odkrył w lesie liczne ślady, ja też sporo ich zauważyłem.

– Myśliwi?

– Nie sędzę.

– Wędrowcy, tacy jak my?

– Też nie.

– Więc kto?

– Żołnierze – odpowiedział Berger.

– Angielscy żołnierze?

– Tak.

– Mylisz się.

– Taki stary goniec leśny jak ja nie myli się w kwestii śladów, które zostawiają po sobie Czerwone Kubraki¹.

– Więc myślisz, że Anglicy są niedaleko?

¹ *Czerwone Kubraki* (Kurtki) – popularne określenie angielskich żołnierzy noszących czerwone mundury.

- Jestem tego pewny.
- Tym lepiej, mamy krótszą drogę do przebycia.
- Moim zdaniem, wszystko zważywszy, lepiej byłoby ich unikać.
- Eh!
- I zawrócić.
- Oszalałeś? – zapytał pan de Jumonville, patrząc na Kanadyjczyka ze zdumieniem.
- Te tajemnicze podchody, marsze i kontrmarsze są podejrzane, mówię panu.
- Czyż nie wysłano mnie jako parlamentariusza do pułkownika Frye?
- Nie przeczę.
- I do majora Waszyngtona?
- Tak.
- Obecność, bliskość brytyjskich oddziałów nie jest tym, czego bym się obawiał.
- Zobaczymy.
- Zniecierpliwiony oficer odparł żywo:
 - Status parlamentariusza jest nienaruszalny, święty! Chronią go prawa wojny, prawo ludzi i narodów.
 - Myśliwy zrobił gest zwątpienia.
 - Tutaj wojnę toczy się inaczej niż w starej Europie – powiedział.
 - Nigdy nie uwierzę...
 - Nieuzasadniona agresja, której ofiarami padliśmy w okresie pokoju, dowodzi szacunku, z jakim Anglicy odnoszą się do praw ludzi.
 - Berger! Berger! Nie kreśl czarnych scenariuszy – odrzekł kapitan, siląc się na uśmiech. – Twoja nienawiść do Anglików sprawia, że jesteś niesprawiedliwy.

– Niesprawiedliwy wobec...

– Szanuj naszych wrogów, jeśli chcesz, żeby nasi wrogowie cię szanowali.

– Albo zamilknij... przed panem – wyszeptał kanadyjski myśliwy, z trudem kryjąc zły humor.

– Upierasz się... Obstawiasz przy tym, że trzeba zachować niezbędne środki ostrożności?

– A i owszem.

– No dobrze! Daję ci wolną rękę. Rób, co uważasz za stosowne.

– Tylko o to proszę! – wykrzyknął radośnie Berger, podnosząc się.

– Później przyznasz się do błędu.

– Bóg tak chce, panie! To moja potyczka i moje podejrzenia, ale natychmiast skorzystam z pozwolenia, które właśnie mi pan dał.

– Idź, idź i baw się dobrze. Zgłoś się do mnie po powrocie.

– Nie omieszka, panie hrabio.

Berger pożegnał się z młodym oficerem i szybko podszedł do Indianina przykucniętego na uboczu przed ogniskiem, które sam dla siebie rozpałił. Ten tubylec w kwiecie wieku był bardzo wysokim mężczyzną proporcjonalnej postury, miał regularne rysy twarzy, godne dłuta Michała Anioła¹. Jego czarne, szeroko otwarte oczy błyszczały inteligencją i sprytem. Subtelny, zamyślony wyraz twarzy, jego szlachetna sylwetka zdradzały wrodzoną elegancję, która charakteryzuje czerwonoskórych. Miał na sobie dwuczęściowe *mitasy*, czyli spodnie zszyte włosami, ściągnięte na biodrach skórzanym paskiem i przytroczone do

¹ *Michał Anioł* (właściwie Michelangelo Buonarroti, 1475-1564) – jeden z najwybitniejszych włoskich i europejskich artystów epoki renesansu.

kostek; koszulę z kaliko¹ i mokasyny ze skóry łosia, ozdobione kolcami jeżozwierza² i wielobarwnymi szklanymi koralikami. Jego dość długie włosy były starannie zaplecione i spięte w kok na czubku głowy. Peleryna z białej skóry bizoniej, spięta na ramionach, okrywała go całkowicie, sięgała aż do ziemi z dostojnością i majestatem. Indianin, w którym za sprawą orlego pióra wetkniętego pionowo we włosy można było rozpoznać wodza, palił nonszalancko kalumet³. Choć słyszał szybkie kroki, a swoim bystrym wzrokiem doskonale widział zbliżającego się Kanadyjczyka, nie poruszył się, sprawiając wrażenie pozornie pochłoniętego myślami. Berger podszedł do niego. Indianin nie odwrócił głowy. Kanadyjski myśliwy położył mu delikatnie dłoń na ramieniu, nie wypowiadając przy tym ani jednego słowa. Zaczekał – tak jak zrobił to w czasie spotkania z francuskim oficerem – aż wódz sam się odezwie.

– Mój brat przyszedł do swego przyjaciela – powiedział Indianin przenikliwym głosem. – Czego pragnie? Niech mówi. Uszy wodza są otwarte.

– Białe myśliwy pragnie pozdrowić swego przyjaciela i życzyć mu długiego odpoczynku nim się z nim pożegna – odpowiedział Kanadyjczyk.

¹ *Kaliko* – niegdyś jeden z gatunków perkalu, rodzaju bawełnianej tkaniny o splocie płóciennym (od nazwy portu Kalikat na północy Indii na Wybrzeżu Malabarskim).

² *Jeżozwierze* – gatunki z tego rodzaju (*Hystriidae*) występują tylko w Starym Świecie, w Ameryce nazywani są tak przedstawiciele innych rodzin gryzoni: ursony (*Erethizontidae*) i igłozwierze (*Sphiggurus*), w dolinie Ohio występują ursony amerykańskie (*Erethizon dorsatum*), duże (do 90 cm długości) gryzonie o ciemnej sierści, przekształconej w kolce, prowadzą głównie nocny tryb życia, żerują na drzewach.

³ *Kalumet* (Fajka pokoju, z fr. „wydrażona trzcina”, znana także jako święta fajka) – ozdobna obrzędowa fajka części plemion północnoamerykańskich Indian, palona podczas niektórych ceremonii religijnych, uroczystości społecznych i szczególnie ważnych spotkań towarzyskich, a także w trakcie indywidualnej modlitwy.

– Gdzie idzie Sans-Piste¹? – odrzekł czerwonoskóry, nazywając Bergera imieniem, pod którym był znany i ceniony w tujszych lasach. – Błady wódz dał mu zadanie, którego dwaj ludzie nie mogą wypełnić razem?

– Rzeczywiście otrzymałem zadanie.

– Niewidzialna Stopa obiecał, że sam wykona to zadanie?

– Nie.

Indianin czekał z kamienną twarzą. Myśliwy mówił dalej z uśmiechem:

– Przypuszczam, że wódz, zmęczony długą drogą przez las, chciałby w tak ciemną, bezgwiezdną noc odpocząć spokojnie przy ogniu.

Czerwonoskóry uniósł gwałtownie głowę.

– Niewidzialna Stopa jest bardzo wesoły – powiedział. – Niewidzialna Stopa żartuje. Nie wie, że Kouha-Handé² jest wodzem i nie wie, co to zmęczenie? Huroni³ to mężczyźni, a nie stare gadatliwe kobiety. Gdzie idzie mój brat?

– Sprawdzić okolice obozu.

– Dobrze.

– Wódz pójdzie ze mną?

– Niech mój brat idzie; pójdę za nim.

– Liczyłem na wodza.

Mówiąc te słowa, kanadyjski myśliwy podał dłoń indiańskiemu wodzowi, który uściśnął ją w milczeniu. Potem czer-

¹ *Sans-Piste* – Niewidzialna Stopa (dosłownie: Bez śladu); dalej będzie używana polska nazwa.

² *Kouha-Handé* – dosłownie: Słyszę, że nadchodzi; tłumaczymy: Bystry Słuch [przypis G. Aimarda]; dalej będzie używana polska nazwa.

³ *Huroni* – plemię indiańskie w Ameryce Północnej (rodzima nazwa to Wyandoci „Wyspiarze”; Huron – nazwa francuska, od *hure*, łeb dzika), rolnicze, mieszkało nad Wielkimi Jeziorami, sprzymierzeńcy Francuzów, wypierani przez Irokezów na południe, niedobitki osiadły w stanach Wisconsin i Ohio; obecnie jest ich ok. 20 tys.



Obaj mężczyźni opuścili polanę i zagłębili się w lesie.

wonoskóry podniósł się, poprawił okrycie z bizoniej skóry, wcisnął strzelbę pod ramię i był gotowy do drogi, by iść za swoim przyjacielem. Omiótłszy wzrokiem obóz, w którym wszyscy prócz wartowników byli pogrążeni w przywracającym siły śnie, obaj mężczyźni opuścili polanę i zagłębili się w lesie. Wkrótce zniknęli w gęstych zaroślach i zagajnikach, które dla francuskiego obozu były niczym obronne szańce.



Rozdział II

Major Waszyngton

Postawmy na chwilę oddział dowodzony przez hrabiego de Jumonville i podążmy za dwoma gońcami leśnymi, których zadaniem było zbadanie okolic francuskiego obozu; poprośmy Czytelnika by nam towarzyszył do pozostałości wioski Huroków, położonej kilka lig dalej, nad brzegami rzeki Ohio. Tam bowiem tymczasowo zgromadzili się pewni osobnicy, których poznanie jest niezbędne dla zrozumienia kolejnych wydarzeń.

Indianie od dawna wykorzystywali wioskę zbudowaną na lewym brzegu rzeki, stromym i zadrzewionym, jako schronienie w czasie wiosennych polowań. Samo położenie wioski zapewniało jej bezpieczeństwo. Z jednej strony górowała nad kapryśnym biegiem *Pięknej Rzeki*, z drugiej broniło jej przed całkowitym zaskoczeniem strome zbocze. Indianie porzucili to miejsce kilka lat wcześniej, aby przenieść się w głąb łądu. Pogłowie zwierzyny znacznie zmalało, więc wyruszyli w poszukiwaniu innych terenów łowieckich. Palisady, które kiedyś służyły jako mury, uległy niemal całkowitemu zniszczeniu, a nieliczne chaty, które się ostały, dawały raczej schronienie wiatrowi i deszczowi niż nieszczęśnikom, którzy zrządzeniem losu lub złym trafem zapuścili się w te strony.

Tymczasem w dniu, w którym rozpoczyna się nasza opowieść, w wiosce, która zazwyczaj była pusta i cicha, panowało duże ożywienie. Około siódmej wieczorem pododdział angielskich żołnierzy składający się z trzystu ludzi, zarówno białych, jak i dzikich, wspiął się na wzgórze, wkroczył do wioski i rozbił

obóz z zamiarem spędzenia w nim nocy. Pododdział ten wysłał Dinwiddie, gubernator Wirginii. Był on częścią oddziału odkomenderowanego do zajęcia terenów na rzekę Ohio i zbudowania tam fortu, tego, z którym tak okrutnie obeszlą się Francuzi, aby nauczyć Anglików szanowania wszystkich praw rządzących cywilizowanymi ludami.

W trochę mniej niż inne zniszczonej chacie, naprawionej naprędce i prawie nadającej się do zamieszkania, znajdowało się dwóch angielskich oficerów. Był to dowódca oddziału i jego zastępca. Siedzieli naprzeciwko siebie przed paleniskiem, które ogrzewało ich w tę zimną noc, i rozmawiali, w międzyczasie posilając się pieczoną ćwiartką dziczyzny i popijając whisky rozcieńczoną wodą.

Dowódcą, młodym, zaledwie dwudziestodwuletnim mężczyzną bez zarostu, był nie kto inny jak major Waszyngton, dowódca wirginijskiej milicji, ten sam Waszyngton, który później wślawił się, wyzwalając swój kraj spod władzy angielskiego suwerena. Jednak w owym czasie angielski major Waszyngton nie miał pojęcia o roli, jaką Opatrzność przewidziała dla niego w przyszłości. Jeszcze niedawno był młodzieńcem. Pokażny wzrost, zgrabna sylwetka, eleganckie maniery oraz pełne gracji i harmonii gesty czyniły go człowiekiem pod każdym względem wspaniałym, doskonałym dżentelmenem. Miał piękne rysy twarzy. Grecki nos, oczy o myślącym i melancholijnym spojrzeniu, wąskie usta, mocno wystający podbródek, zdradzający stanowczy charakter, nadawały jego fizjonomii niespotykaną dostojność. Od pierwszego spojrzenia już budził respekt. Pasawał mu wojskowy mundur i mimo niezwykle młodego wieku wszyscy traktowali go z szacunkiem należnym dowódcy.

Chorąży Ward, jego zastępca, był jego całkowitym przeciwnieństwem. Był żołnierzem z krwi i kości. Wysoki, suchy, szczu-

ply, oziębły i dzielny jak jego szpada, posiadał tyle niezbędnego rozumu, ile potrzeba do sumiennego wykonywania obowiązków. Warto dodać, uzupełniając portret tego dostojnego oficera, że chorąży Ward, przesiąknięty, jak wszyscy ówcześni Europejczycy, absurdalnymi uprzedzeniami rasowymi i kastowymi, nie mógł zdzierżyć, że znalazł się pod rozkazami majora Waszyngtona. Nie dlatego, że jako pięćdziesięcioletni mężczyzna musiał okazywać posłuszeństwo dwudziestolatce, ale dlatego, że jako Anglik służył pod dowództwem Kreola¹, co jeszcze nie miało miejsca od czasu założenia angielskich kolonii w Ameryce. Dlatego chorąży Ward był równie zde gustowany, co nieszczerliwy. Mimo starań nie potrafił ukryć swej dumy i próżności. Został wzięty do niewoli przez Francuzów podczas ataku na Mały Fort wzniesiony nad brzegami rzeki Ohio i dał słowo, że nie ucieknie z Fort Duquesne, w którym go zamknęto. Oczywiście, zgodnie z angielskimi zwyczajami w Ameryce, nie miał zamiaru dotrzymać danego słowa. Uciekł już po tygodniu i dołączył do angielskich wojsk, mając w pamięci wciąż żywe wspomnienie poniesionej przez niego i jego ludzi klęski. Wyrzuty sumienia jedynie pogarszały jego zły nastrój, bo odważny chorąży, nieodrodny syn Albionu², nie potrafił ich uciszyć. Ward czekał tylko na moment, kiedy będzie mógł się odpłacić z nawiązką za cierpienia, których rzekomo doświadczył podczas czterdziestoosmiodzinnej niewoli, w której cieszył się nieskrępowaną wolnością. Jednak Francuzi byli okrutnymi i zjadłymi wrogami Anglii!

Kończąc kolację, chorąży chyba po raz dwudziesty opowiadał dowódcy o doznanych w niewoli szykanach i o wzruszają-

¹ *Kreol* – potomek kolonizatorów, głównie hiszpańskich oraz portugalskich i francuskich, urodzony w Ameryce Południowej lub na południu Stanów Zjednoczonych.

² *Albion* – starożytna, literacka nazwa wyspy Brytanii, używana w tekstach poetyckich w odniesieniu do Anglii.

cych perypetiach związanych z ucieczką przez pustynię. Major Waszyngton wydawał się słuchać go z głęboką uwagą, ale od czasu do czasu w kąciku jego ust pojawiał się znikomy uśmiech. Chorąży, zaaferowany snutą opowieścią, nie miał pojęcia, że za tym pozornym zainteresowaniem kryje się ambicja, która nigdy nie traci z oczu obranego celu. Gdyby młody oficer nie miał poważnego powodu, by słuchać paplaniny starego wiarusa, już dawno wydałby mu rozkaz odmaszerowania i pozbyłby się go. Kiedy Ward skończył, dowódca dał mu czas na zastanowienie się nad wszystkimi tymi niemiłymi przygodami.

Kolacja dobiegała końca.

– Zatem – powiedział chłodno Waszyngton – wiele pan wycierpiał z rąk Francuzów?

– Tak, panie majorze – odpowiedział żywo chorąży – wiele!

– Obwinia ich pan?

– Jak powinien to zrobić każdy dobry Anglik.

Młody oficer pohamował pogardliwy uśmiech. Być może myślał, że choć Anglicy sądzili, iż mają prawo brzydzić się Francuzami, Amerykanie też mieli powody, by wierzyć, że żywią do Anglików uzasadnioną nienawiść.

Stary wiarus ciągnął dalej.

– Przysięgam dozgonną nienawiść tym przeklętym *zjadaczom zupy*¹ i mam nadzieję, że pewnego dnia jej pofolguję.

– Kiedy? – zapytał Waszyngton tym samym obojętnym tonem.

– Do licha! Jak tylko zostanie wypowiedziana wojna.

– Co pan mówi, panie Ward?

¹ Tu: Francuzi; Anglicy używali wobec zamieszkujących teren obecnej Kanady przedstawicieli klas robotniczych i wieśniaków o francuskich korzeniach określenia „zjadacze zupy” (*pea soups*) o pejoratywnym, pogardliwym wydźwięku.

– Mówię – jak tylko wojna...

Młody oficer nie pozwolił chorążemu dokończyć zdania, a ten, przestraszony postawą swego dowódcy, zastanawiał się, jaką głupotę mógł palnąć.

– Więc wojna między Francją a Anglią nie została wypowiedziana? – wykrzyknął z doskonale odegranym zaskoczeniem.

– O ile mi wiadomo, to nie – zająknął się Ward – i nie wiem, jak w okresie pokoju, a przynajmniej zawieszenia broni, mógłbym...

– W okresie pokoju? Ale jesteśmy w trakcie wojny.

– W trakcie wojny?

– Bez wątpienia.

– Na honor! Cóż to się wydarzyło, gdy spacerowałem po lesie... Proszę mi wybaczyć, ale nie byłem dobrze poinformowany o stanie rzeczy.

– Wybaczam, choć nie pojmuję pańskiej niewiedzy i zaskoczenia.

– Zatem mamy wojnę?

– Owszem.

Ward zatarł ręce z radości. Dowódca obserwował go kątem oka. Myślał przez kilka chwil, potem znów zabrał głos z niezauważalnym akcentem kpiny:

– Mój drogi zastępcu – powiedział – widzę, że pamięć wam szwankuje.

– Majorze, pamiętam wszystko, o czym mi wiadomo... – odpowiedział Ward, urażony w swej miłości własnej.

– To nie wystarczy – odpowiedział Waszyngton tym samym tonem. – Pewne rzeczy trzeba przewidywać.

– Proszę jaśniej, majorze.

– Dlaczego tu jesteśmy?

– Dlaczego?

- Tak.
- Szczerze, majorze, przysięgam panu, że nie wiem.
- Niemożliwe.
- Słowo honoru, że nie wiem.
- Jeśli mnie pan nie rozumie, panie Ward, to dlatego, że nie chce mnie pan zrozumieć – powiedział młody oficer, nie kryjąc niezadowolenia.
- Pokornie proszę o wybaczenie, staram się z całych sił, ale zbyt wysoko ocenia pan moją bystrość.
- Zamierzam zatem postawić kropkę nad i.
Chorąży Ward z ciekawością otworzył oczy i nadstawił uszu.
- Przyznaje pan, nieprawdaż, panie Ward, że jesteśmy na terytorium Francji?
- Nie ma cienia wątpliwości.
- Dobrze, a teraz jesteśmy tu dobrowolnie czy nie?
- Czy ja wiem... – zawahał się stary oficer.
- Proszę odpowiedzieć.
- Wydaje mi się, że nas nie zaproszono...
- Otóż to. Z drugiej strony, czy my nie próbowaliśmy jakiś czas temu wycofać się nad rzekę Ohio i tam pozostać?
- Jest to tym bardziej prawdziwe, że powierzył mi pan pieczę nad tym posterunkiem.
- Zaatakowali was Francuzi?
- Tak, majorze.
- Zniszczyli wasz posterunek?
- Doszczętnie.
- Wzięli was w niewolę, pana i pańskich żołnierzy?
- Nie przeczę.
- I co? – dorzucił chłodno Waszyngton.
- Oczywiście, że... – odpowiedział nieśmiało Ward.
- Moim zdaniem, stanowi to bardzo charakterystyczne zarzewie działań wojennych.

– Zarzewie, a i owszem.

– Nawet bez wcześniejszego wypowiedzenia, *wydaje mi się, że jesteśmy w stanie wojny.*

Wyróżniamy te ostatnie słowa, bo jest to wypowiedź, która rzeczywiście padła z ust Waszyngtona w tych okolicznościach.

Ward zastanawiał się przez kilka chwil, aż w końcu odpowiedział:

– My toczymy wojnę.

– Jak to, my?! – wykrzyknął major. – Czy to my zaczęliśmy walkę?

– Nie.

– Zatem?

– Ale to my najechaliśmy na terytorium naszych sąsiadów bez uprzedzenia.

– Co też pan mówi?

– I próbowaliśmy się na siłę osiedlić – kontynuował Ward, który łamiąc przy tym dane słowo i przymykając oko na własną szkodę, potrafił odróżnić prawdę od fałszu, gdy chodziło o innych, a zwłaszcza o przełożonych.

Waszyngton oniemiał. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi od człowieka, którego uważał za brutala, zwykłego podporządkowywać się rozkazom i opiniom swoich przełożonych.

Szybko jednak odparł:

– Mój drogi chorąży – powiedział z ironią – jest pan odważnym żołnierzem, doskonałym oficerem, ale spojrzmy prawdzie w oczy, nie ma pan pojęcia o dyplomacji czy polityce.

– Nigdy się tym nie zajmowałem, majorze – odpowiedział szczerze chorąży.

– I to był błąd, inaczej zrozumiałby pan, że w interesie Anglii leży odebranie tych bogatych ziem Francuzom.

– Rozumiem, majorze.

– I że wszystkie środki są dobre, aby osiągnąć tak ważny cel.

– Hm! – mruknął Ward.

– Tak jest.

Stary oficer spuścił głowę w milczeniu. Washington, udając, że bierze jego milczenie za wyraz zgody, kontynuował:

– Zrozumiał pan, tak jak zrobiłby to każdy dobry Anglik na pańskim miejscu. Kończąc całą tę dyskusję, pozwolę sobie przekazać panu nowinę, która, jestem tego pewny, sprawi panu wielką radość.

– Jaką nowinę?

– Taką, że gońcy i zwiadowcy poinformowali mnie, że francuski oddział właśnie opuścił Fort Duquesne.

– Ach! ach!

– Oddział, składający się z około czterdziestu ludzi, porusza się w górę rzeki Ohio i kieruje się tym brzegiem.

– Doprawdy, to niemożliwe.

– A jednak tak jest.

– Czemu ryzykują, wyruszając tak małą grupą na tereny zajęte przez liczebniejsze siły?

– Nie odpowiem panu na to pytanie. Pilnie strzegą swego sekretu. Nasi szpiedzy niczego się nie dowiedzieli.

– Jaki jest ich rzekomy cel?

– Twierdzą, że zostali wysłani jako parlamentarzyści z misją wezwania mnie do natychmiastowego wycofania się do Wirginii...

– Aha!

– I oczyszczenia tego, co nazywają terytorium francuskim niesłusznie zaatakowanym przez wojska Jego Królewskiej Mości, króla Wielkiej Brytanii¹.

– Zuchwalcy! – zamruczał pod nosem Ward.

¹ W tym czasie królem był Jerzy II (1683-1760).

– Ale – ciągnął Waszyngton z pewnym ożywieniem – wysłanie parlamentarzysty jest jedynie pretekstem.

– Tak pan sądzi, majorze?

– Muszę się dowiedzieć, co się za tym kryje.

– Niewątpliwie, jeśli coś się kryje...

– Poza tym parlamentarzycie nie towarzyszyłby tak duży oddział.

– Ba! Czterdziestu ludzi!

– Przybyłby z przewodnikiem, tłumaczem i trębaczem, wystarczającą eskortą dla oficera z pokojową misją.

– Ma pan rację, majorze, ale...

– Ale co?

– Jeśli to rzeczywiście parlamentarzystą?

– Nie jest nim.

– Chyba słyszałem o takich planach, kiedy byłem przetrzymywany w Fort Duquesne.

– Jestem święcie przekonany, że ten oficer przychodzi z zupełnie innym zamiarem niż ten, do którego się przyznaje.

– W taki razie...

– Roztropność wymaga od nas podjęcia pewnych środków ostrożności, aby nie dać się zaskoczyć.

– Och! – Chorąży zaśmiała się pogardliwie. – Jest nas ośmiokrotnie więcej niż tych żebraków. Nie mamy się czego obawiać.

– Możemy się obawiać, że zabiją kilku ludzi, czego za wszelką cenę chcę uniknąć.

– To będzie trudne.

– Za wszelką cenę – powtórzył Waszyngton. – Zrozumiano?

– Zatem zaatakujemy ich?

– Bez wątpienia.

– Sprawa jest poważna.

– W jakim sensie?

– A jeśli się mylimy, majorze?

– Odpowiedzialność biorę na siebie – odpowiedział zdawkowo młody oficer.

Chorąży uklonił się z szacunkiem.

– Pańskie rozkazy? – zapytał.

– Oto one: o północy zwiniemy obóz, zejdziemy na równinę, wejdziemy do lasu trzema kolumnami oddalonymi od siebie o sto pięćdziesiąt kroków, połączonymi ze sobą linią tubylczych strzelców, następnie będziemy posuwać się do przodu, zagarniając do ogromnej sieci wszystko to, co znajdziemy w lesie.

– Tak zostanie wykonane, panie majorze.

– Cóż, teraz, mój drogi Ward, postaram się zasnąć na kilka godzin. Obudź mnie gdy już nadejdzie odpowiednia pora. Dobrej nocy. Proszę, nie zapomnij o sprawdzeniu strzelb i wymianie spłonek.

Młody oficer owinał się płaszczem i, oparłszy się plecami o ścianę walącej się chaty, wyciągnął stopy w stronę ogniska, zamknął oczy i udawał, że zasypia. W ten sposób nie musiał już wysłuchiwać wątpliwości i pytań swego zastępcy. Ten ostatni nie zasnął, zapalił cygaro i zaczął rozmyślać o otrzymanych właśnie rozkazach. Chorąży Ward był jednym z tych ludzi, którzy nigdy nie wiedzieli, czy powinni być zadowoleni czy niezadowoleni. Wywiedzenie w pole Francuzów, którzy byli jego największymi wrogami, było najlepszym, o czym mógł marzyć, ale w tej sytuacji on i jego ludzie stąpali po cienkim lodzie. Między dwoma zaciągnięciami się cygarem wyrzucił z siebie słowa, które streszczały to, co myślał:

– W końcu po coś zaprzętałem sobie tym głowę. Będzie, co ma być; umyвам ręce. Mam dowódcę, wykonuję jego rozkazy i tyle!

Czy major Waszyngton słyszał ten krótki monolog, a może naprawdę spał? Trudno byłoby to potwierdzić i sprawdzić. Jedno było pewne: nawet nie zadrżała mu powieka. Po wypaleniu cygara chorąży Ward owinął się płaszczem i zasnął snem Poncjusza Piłata.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!